Felieton
Filip Ratkowski

Pojęcie „poligarchia” sformułował w 1953 r. amerykański socjolog Robert Dahl, na określenie minimalnych cech współczesnej demokracji. Są tam wolne wybory, wolność słowa i stowarzyszania, a w tle pluralistyczne społeczeństwo. System wymaga także „trójpodziału władz” i instytucji wywodzących się wprost z „demokracji parlamentarnej” natomiast złamanie monteskiuszowskiej idei ma swoje fatalne i dalekosiężne skutki.
Bawi mnie lament nad wykwitem naszego swojskiego nacjonalizmu, ksenofobii, klerykalizmu i innych izmów, jakich moc objawiły wyniki wyborów prezydenckich. Spytam tylko - a czym zajmował się PiS przez 8 lat gdy sprawował władzę? Oto jego podstawowym hobby było załatwianie posad dla krewnych i znajomych królika we wszystkich trzech władzach - ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej, a przede wszystkim, w całkowicie uzależnionej dziś od owych władz sferze gospodarki, nie wiadomo dlaczego ciągle nazywanej „kapitalistyczną”.
Stąd dziwne przejęcia, fuzje i dyfuzje państwowych i uzależnionych od państwa firm, co umożliwiało otwieranie posad dla swojaków. I nie chodzi tylko o posady za wiele milionów, jak w przypadku prawnika, którego chciano wtulić bankierowi Czarneckiemu (przypomnę, że odmowa stała się jedną z przyczyn jego upadku) ale też o zatrudnienie sprzątaczki w biurze gminy. Takich zatrudnionych, w ciągu 8 lat, zebrało się pewnie wiele milionów, i te wszystkie osoby, po zwycięstwie koalicji demokratycznej, drżą o swoje posady, a towarzyszy im w tych obawach rodzina bliższa, dalsza a nawet ciotka z Ameryki. Skoro „my” dostaliśmy posady po znajomości, z „partyjnego nadania” to teraz nasze miejsca zajmą znajomi innych rozgrywających!
Nie jest to jednak żadna wyjątkowa sytuacja – to prawidłowość systemu, w którym „władza” może zniszczyć każdego – Putin pogonił oligarchów, Obajtek rozpędził cały Lotos a Trump zdołował Muska, za to na arenie międzynarodowej broni amerykańskich gigantów informatyki. O władzy biurokracji państwowej „nowej klasy wyzyskiwaczy” pisał już w latach 50. Milovan Dżilas, niegdyś najbliższy współpracownik marszałka Tito, a potem czołowy opozycjonista. Sądzę, że wygrana „Koalicji 15 października”, a i węgierskie zwycięstwo nad Orbanem, były przypadkiem zwycięstwa „antysystemowców” nad systemem, w którym pewna partia (grupa, klika, spółka, mafia – niepotrzebne skreślić) przy użyciu populistycznych technik zdobyła pozycję hegemona i powiada, że „raz zdobytej władzy nie odda już nigdy”. I nie ważne, czy wśród tych technik będzie ksenofobia, czy mieszkania na wynajem, ksiądz z kropidłem, czy basen z wodotryskiem i tak wygrają ci, którzy ciągle przypominają, że gdy ich zabraknie to polecą głowy - od góry do dołu. Innymi słowy – zwycięstwo przeciwników Orbana (na Węgrzech) i Kaczyńskiego (w Polsce) nie oznacza sukcesu Petera Magyara ani Donalda Tuska – to rezultat masowego oporu wobec „klasy politycznej” i każdej władzy określającej się jako „partyjna” i rozdającej zdobyte łupy swym sojusznikom.
Najsmutniejsze, że żadna wybrana w systemie parlamentarnym władza nie ma dobrego wyjścia z sytuacji. Widać wyraźnie jak szamoce się Tusk z tym problemem. Rozliczenia ewidentnych afer w jakie uwikłani byli ludzie mianowani przez poprzedników idą jak po grudzie, bo ma przeciw sobie, także w prokuraturze i sądach, opór osób pewnych, że w kolnych wyborach rozczarowane „masy” znów postawią na przeciwników „władzy” jaka by nie była.
Najnowszym przykładem oporu „antysystemowców” są ostatnie wyniki wyborów na prezydenta

Krakowa. Zwyciężył Łukasz Gibała, doktor filozofii, logik, niegdyś pracownik naukowy, syn przedsiębiorcy przez dziesięciolecia handlującego alkoholem i prowadzącego wiele innych przedsięwzięć obliczanych na wiele milionów, siostrzeniec znanego polityka Jarosława Gowina niegdyś wicepremiera a dziś zatrudnionego jako eskopet do spraw współpracy międzynarodowej przez prezydenta miasta Chełm. Łukasz Gibała, kiedyś poseł PO i Ruchu Palikota, bliski współpracownik krakowskich struktur „Razem" i wieloletni radny miasta, ma za sobą długą obecność w „klasie politycznej", ale dziś przedstawia się jako człowiek niezależny. Jego siłą jest specyficzna „ludowość" – w trakcie kampanii wyborczej chętnie przechodził „na Ty" z kim popadło, zapewniając, że ten styl urzyma także jako prezydent miasta.
Partyjna przynależność od lat bywała przeszkodą na drodze do sukcesu w wyborach samorządowych na szczeblu gminnym czy powiatowym, tym razem stała się argumentem w walce o Kraków. Pozycję „bezpartyjnego" przyjął już poprzednik Gibały, prof. Jacek Majchrowski, który wybrany jako członek SLD szybko pozbył się tej etykiety. Startująca do rady miasta, rachityczna krakowska lewica nigdy nie przeciwstawiała mu swojego kandydata, a efekt to jej wieloletnia nieobecność w Radzie Miasta, choć owszem, kilku znanych działaczy z tego kręgu można było znaleźć – w „prezydenckim zaciągu".
I te teoretyczne rozważania powinny się przydać w trakcie koniecznej przecież, oby już wkrótce, szerokiej i ponadpartyjnej dyskusji nad perspektywami całej polskiej lewicy, a przy okazji mogą ułatwić odcedzenie ruchu z postaci dla których „partyjność" to przepustka do „nowej klasy wyzyskiwaczy".

Filip Ratkowski